

Wilk był olbrzymi, przerażający i zarazem piękny. Złociste oczy lśniły niesamowicie, przejmując do szpiku. Futro było tak czarne, że zdawało się dziurą zawieszoną w powietrzu. Zwierz stał na środku ścieżki i wpatrywał się w nią, nie poruszając się i nie wydając dźwięku, była jednak świadoma, że wystarczy mrugnięcie, by rzucił się do przodu i pochwycił ją za gardło.

Nie bała się. Po tym co wydarzyło się w ostatnich dniach nie miała już siły się bać. Była zmęczona, głodna, sama jedna w środku głuszy i nie miała do czego wracać. Kiedyś przerażał ją las i zamieszkujące go bestie, teraz wydawało jej się to śmieszne. Ludne miasta i odgradzone dwory tylko pozornie dawały bezpieczeństwo. Wilk wcale nie był gorszy niż wściekły tłum, pijani żołdacy, niż mężczyźni w czarnych płaszczach porywający ludzi Bóg wie gdzie. Zabijał tylko z głodu i w samoobronie, ludzie potrafili zabijać zupełnie bez powodu, każdego kto się nawinął, kto nie spodobał się rozwrzeszczanym prowodyrom.

Powoli dobyła noża kuchennego, jedynej broni jaką posiadała. Nie spodziewała się, by dał jej to jakąś przewagę, ale było jej obojętne czy zginie, nie chciała tylko dać się rozszarpać bez walki. Wiedziała, że nie jest drapieżnikiem, ale nie zamierzała również być owcą.

Wilk nie poruszył się, wciąż stał krzyżując z nią spojrzenia, jak zaczarowany. Wreszcie, po trwającym wieczność czasie, odwrócił się i pobiegł w dół ścieżki. Przebiegł może pięćdziesiąt kroków, po czym odwrócił się i spojrzał w jej kierunku. Zamrugła. Miała poczucie, że dzieje się coś nierealnego. Przemogła paraliż, krępujący członki i ruszyła do przodu, śladem zwierzęcia. Wilk poczekał aż zbliży się na jakieś kilkanaście kroków i znowu ruszył przed siebie, by ponownie zatrzymać się w zasięgu pola widzenia. Tym razem nie było wątpliwości - chciał by za nim poszła. Wydawało się, że nawet cichutko zaskomlał, popędzając ją. Było to wszystko zupełnie nierzeczywiste, ale po tym co przeżyła nie była już taka pewna co jest jawą, a co snem. Szła przed siebie, prowadzona przez węgliście czarnego wilka.

Wkrótce otoczyły ją mgły i widoczność zmniejszyła się, zupełnie straciła poczucie czasu i kierunku. Wilk był tylko plamą ciemności w morzu mleka, dalej jednak za nim szła, nie wiedząc dlaczego ni po co, nie dbając o to. Ścieżka kluczyła, wznosiła się i opadała, wydawała kręcić w kółko. We mgle coś się poruszało, coś szeleściło i jakby szeptało, Przez chwilę miała wrażenie, że kątem oka widzi swych bliskich, odwróciła jednak wzrok i przyspieszyła kroku. Nie chciała o tym myśleć.

Wreszcie plama czerni zatrzymała się i zaczęła rosnąć. Rozjaśniło się. Przyspieszyła kroku i niespodziewanie wynurzyła się z mgły, jakby uciętej nożem. Przed sobą widziała sporą polanę, porośniętą trawą i mchem, usianą głazami narzutowymi. Przecinał ją szmerzący strumyk, w pobliżu którego widać było niedużą grządkę jakichś warzyw i ziół, niezbyt równą, ale wyraźnie zadbaną i regularnie pieloną z chwastów. W samym środku polanki rosło kilka drzew, prawdopodobnie lip, nie była pewna. Jej oczy rozszerzyły się gdy uświadomiła sobie, że najwyższe wcale nie jest drzewem.

Minęła chwila, nim odważyła się ruszyć dalej. Przekroczyła linię białoczerwonych

grzybów, wyznaczających granice polanki i skierowała do owego zagajnika, w centrum którego stał najprawdziwszy dom na kurzej stopce. Był całkiem spory, piętrowy, ze spadzistym dachem i okrągłą wieżyczką z balkonem, mieszczącym chyba obserwatorium astrologiczne. Wokół stopki biegła spirala drewnianych schodów. Lata świetności miał już wyraźnie za sobą, ale nie była w stanie powiedzieć, czy ktoś w nim mieszka. Gruba warstwa mchu tłumiała jej kroki, zresztą pantofelki już dawno się rozpadły i maszerowała boso, kalecząc stopy o kamienie i gałęzie. Wilk szedł teraz krok w krok z nią i o dziwo zupełnie jej to nie przeszkadzało. Chyba zdążyła się przyzwyczaić.

Z bliska kurza stopka nie wyglądała tak niesamowicie - porośnięta całkowicie bluszczem przypominała zwykły słup, wokół którego spiralnie okręcały się drewniane schody. Nie było żadnej balustrady, najwyraźniej mieszkaniowiec (mieszkańcy?) domu nie widział potrzeby dla takich udogodnień. Uniosła głowę. "Chatka" była całkiem spora, w zasadzie była piętrowym domem, nawet z murowaną "piwnicą" i okrągłą wieżyczką z balkonem, na którym musiało być obserwatorium astronomiczne. Pod piwnicą podczipione były jakieś zbiorniki, prawdopodobnie na wodę i szambo. Cały budynek najlepsze lata miał już chyba za sobą, był odrapany i zapuszczony, deski zmurszałe, kamień pokryty liszajem. Sprawiało to niepokojące wrażenie jakby mógł w każdej chwili runąć w dół. Wilk wyprzedził ją, podbiegł pod schody i odepchnął łapą spory kamień, pod którym zauważyła stary pordzewiały klucz. Najwyraźniej czarownice potrafiły być równie niefrasobliwe co zwykli śmiertelnicy.

Wzięła klucz i weszła na schody, ostrożnie stawiając stopy. Już pierwszy stopień zatrzeszczał, jakby ważyła co najmniej dwieście funtów, żadna deska jednak nie pękła. Na wysokości trzech metrów nieco zakręciło jej się w głowie, ale utrzymała równowagę, opierając się o "kurzą stopkę". Dotarła wreszcie do klapy w podłodze, starej i łuszczącej się płatami farby, z której zwisała zaśniedziała ciężka kołatka. Ujęła ją w dłoń i zastukała, nieco rozczerowana tym, że kołatka okazała się być dokładnie tym na co wyglądała - zimnym kawałem metalu - nie zaś zaklętym odźwiernym. Stukot przebrzmiał i nic się nie wydarzyło. Zastukała ponownie, jednak albo nikogo nie było w środku, albo postanowił ją zignorować. Wsadziła zatem klucz do zamka i ostrożnie przekręciła, uważając żeby go nie złamać. Zamek ustąpił z oporem, po czym klapa dała się otworzyć z potępieńczym skrzypieniem.

Gdy jej oczy przyzwyczały się do półmroku dostrzegła wokół siebie niewielkie pomieszczenie, z którego na boki wychodziło kilka drzwi, w tym jedno pancerne, zamknięte na wielką kłódkę na górę zaś kolejne schody, tym razem proste. Wspięła się na wyższe piętro. Trafiła do dużej kuchni, połączonej z jadalnią. Jak na domek na kurzej stopce wszystko wyglądało podejrzanie zwyczajnie, jak w dobrze wyposażonej wiejskiej kuchni, za wyjątkiem nadzwyczajnego brudu i bałaganu. Wszędzie piętrzyły się stosy brudnych garów i resztek jedzenia (na szczęście chyba nie przyrządzono go z niemowląt), podłoga aż się lepila, a w oknach i po kątach rozpościerały się malownicze pajęczyny. Część jadalni wyglądała niewiele lepiej. W długim stole biesiadnym tkwiło kilka noży różnych rozmiarów, ładnie komponujących się na tle plam po winie i glinianych skorup.

Przeszła do kolejnego pomieszczenia. Było zaciemnione, okna zasłaniały ciężkie kotary, więc nie zobaczyła wiele poza tym, że pod ścianami stały masywne drewniane regały z książkami, na środku zaś stolik otoczony sofą i fotelami. Salonik biblioteczny.

- Widzę, że zapchlony kundel znowu coś przywłókł do domu.

Odwróciła się jak oparzona. Na oparciu fotelu, gdzie mogłaby przysiąc, że przed chwilą nie było nikogo, teraz siedział... Ptak? Wampir? Najdziwniejsze stworzenie jakie widziała w życiu. Długie, czarne, nastroszone pióra okrywały ciało, czarnozielone łuski lśniły na mocnych nogach i stopach. Przede wszystkim jednak trupioblada, trójkątna, lecz niewątpliwie ludzka twarz w miejscu dzioba, przeraźliwe czerwonożłote oczy i ostre pożółkłe zęby.

- Czy jesteś wiedźmą? - wymknęło jej się, zanim ugryzła się w język.

- Ma jakieś imię? - stworzenie zignorowało pytanie. Głos miało nieprzyjemny, złośliwy i zimny. - Musi mieć jakieś imię.

Przedstawiła się pełnym imieniem i nazwiskiem.

- Ho ho, po samej długości znać wysokie urodzenie. A to zły czas dla wysoko urodzonych, prawda? Ile ma lat?

Odpowiedziała.

- Nie dałabym ci nawet tyłu. Ale to bez znaczenia, prawda? Nikogo nie obchodzi ile ma lat, ważne, że urodziła się wysoko i upadła nisko, na samo dno. A najważniejsze, że między nogami ma to co każda.

Nie odpowiedziała, rumieniąc się. Wiedźma kontynuowała, jakby do siebie.

- W lasach teraz kryją się całe kohorty takich małych damulek, próżno czekających księcia z bajki. Jeśli przyjmiesz jedną to ani się obejrzysz, jak robi się tu cały babiniec, istne przedszkole sierot po upadłym reżimie. No, na ciebie patrzę, pchlarzu.

Wilk zaskomlał i położył, kładąc uszy po sobie i zasłaniając pysk łapami. Chimeryczna istota prychnęła, niewzruszona.

- Umie w ogóle coś pożytecznego?

Zaczęła wyliczać czego ją uczono, ale chimera przerwała zaraz machnięciem skrzydła, w zupełnie ludzkim odruchu.

- Tak jak myślałam, kolejny darmozjad. Skoro mają tylko siedzieć w domu i rodzić dzieci to

mogliby ich chociaż uczyć czego przydatnego, nie wiem, prasowania i sprzątania. Nie potrzebujemy śpiewaczki ani pianistki, zresztą widzi tu gdzieś pianino? Może chociaż ogrodem się zajmowała? Końmi. Niestety konie i wilki nie przepadają za sobą, musieliśmy się na coś zdecydować. Choć moim zdaniem lepiej wyszlibyśmy na chabetach, to jak sama widzisz...

Ptaszysko z ludzką głową było zadziwiająco gadatliwe. Perorowało jak najęte, maszerując po oparciu fotelu i łypiąc na nią spode łba, przekrzywiając głowę po ptasiemu. W końcu się chyba wreszcie znudziło, zeskoczyło na podłogę i podreptało do kuchni. Ruszyła za nim. Pomagając sobie skrzydłami przeskoczyła nad stosami naczyń, po czym wróciła, trzymając w jednej łapie szczotkę, w drugiej kawał mydła. rzuciła je na podłogę.

- Zmywać też pewnie nie umie, ale nauczy się. To nietrudne, nawet dla panienki o białych rączkach. Weźmie wiadro, miednicę i wyszoruje wszystko na błysk. Dostanie jeść, ciepły kąpiel do spania, a kto wie, może i ciepła strawa na śniadanie się znajdzie. Ale musi zapracować. Nie potrzebujemy darmozjadów.

Wkrótce słońce zaczęło zachodzić i w domu zapłonęły, bez niczyjej pomocy, lampki naftowe na ścianach. Wszystko to było zupełnie nierealne, ale nie miała czasu się nad tym zastanawiać, skupiona na szorowaniu, skrobaniu, namaczaniu, wycieraniu. Gdy wreszcie ostatni czysty talerz znalazł się na półce było dobrze po północy i miała tylko tyle siły i świadomości, by powlec się do saloniku, zwinąć w kłębek na fotelu i okryć kocem. Ogarnęła ją kojąca ciemność.